# LECH
## Tygodnik Illustrowany

Nr. 38. Poznań, dnia 20 Września 1879. Rok II.

# Listy Zygmunta Krasińskiego

*do hr. Montalemberta i do A. Lamartina.*

---

### I.

*List Zygmunta Krasińskiego do hr. Montalemberta z powodu jego mowy wypowiedzianéj w sprawie Polski d. 21. stycznia 1847 r. w Izbie parów.*

(Tłom. z francuzkiego przez *Teofilę Radońską.*)

Pragnę Panu podziękować za niewypowiedziane dobrodziejstwo, jakiego doznałem od Pana. Ilekroć odgłos Pańskiego słowa, oddającego słuszność najświętszéj sprawie nowszych czasów, dochodził do mnie, serce moje drżało od wzruszenia, a duszę przejmowała ta rozkosz najwyższa, którą stanowi uniesienie wszelkiéj istoty ludzkiéj ku sprawiedliwości przedwiecznéj, ów zachwyt, jaki w całéj pełni uczują tylko ci, którzy, ponosząc bez wytchnienia najstraszliwsze męczarnie ciała i duszy, by zachować swą wiarę, nadzieję i miłość, usłyszą nagle wyznanie szczytne, głośne i publiczne téj saméj wiary, téj saméj nadziei i miłości téj saméj.

I zdarza się wówczas, iż głos ten biorą oni za głos Boga samego i w istocie nie mylą się; bo skąd pochodzi on głos, jeśli nie z głębi wielkodusznego serca? — A cóż stanowi wielkoduszne, szlachetne serce, jeśli nie natchnienie kraju, do ustawicznego działania, natchnienie, co przeszło w krew i ciało, wspaniały dar łaski nieskończonéj, złożony w piersi człowieka z jego przyjściem na świat, aby służyć — że ośmielę się tak wyrazić — za przewodnika bożéj elektryczności wszelkiego dobra i piękna, gdy potrzeba Bogu, aby ona obiegała ludzkość?

A więc nie mylimy się bynajmniéj; ciemiężcom naszym głosisz Pan przestrogi i wyroki sprawiedliwości bożéj; nam podajesz rady i pociechy miłości Chrystusowéj. W tem jest pewien rodzaj kapłaństwa! Trybuna, gdy na nię wstępujesz, zmienia się w rodzaj kazalnicy duchowéj . . . . i przychodzi na myśl wspomnienie kościoła średniowiecznego, gromiącego tyranów i uwalniającego narody, zjawia się nagle przed oczyma duszy uniesionéj i każe jéj zapomnieć, że ona znajduje się w Izbie panów Francji handlowéj i zamiłowanéj w pokoju. Otóż, za co pragnąłem Panu podziękować; lecz czemże jest uczucie jednostki odosobnionéj, gdy tysiące ludzi, gdyby mogły, powstałyby w téj chwili powszechnéj zgody i harmonji i w obec całéj Europy zawołałyby: „Dziękujemy Ci!“

Pan nie wiesz może, że w chwili, gdy piszę te słowa, setki bohaterskiéj młodzieży narażają swą wolność i życie, aby wprowadzić do Polski przez rosyjską i austrjacką granicę zakazany Dziennik, zawierający ostatnią mowę Pańską. Ukryli go przed oczyma szpiegów; jako świętą relikwię złożyli go na sercu; i posuwają się krętemi ścieżkami pośród lasów i przez zaspy śniegu, mogąc każdéj chwili spotkać się z Kozakiem, co lancą pierś im przeszyje, lub z kulą pewniejszą *Graenz Jaegra* niemieckiego a jeśli ujdą śmierci, wysłani zostaną na Sybir, lub do kazamat Spielberga. Tymczasem po drugiéj stronie granicy starcy, kobiety i dzieci oczekują ich powrotu w trwodze niewymownéj. Zapewne lękają się o los ukochanych, ale nie o tém jedynie myślą. Z równą trwogą oczekują tego, co Francja przez Twe usta, Panie, orzekła o zajęciu Krakowa. A gdy odbiorą Dziennik, którego sprowadzenie mogłoby ich na zawsze pozbawić syna, brata, kochanka, zadrżą z radości i błogosławić będą imie Twoje. Pocieszysz ich do czasu i oto nagroda Twoja.

A nie sądź Pan, abym przesadzał; jest przesada w ogromie nieszczęść, jakie nas spotykają; w ponuréj i bolesnéj, rzekłbym, naturze położenia Polski; to los przesadza, a nie ludzie, ani uczucia, jakie ci ludzie objawiają. Uczucia te są prawdziwe, najprawdziwsze, one tylko wyrównują strasznéj rzeczywistości. Tak jest, powtarzam, cały naród w głębi grobu swojego oczekuje Twego słowa, przedzierającego się doń przez tysiące niebezpieczeństw. Wyczekuje go z trwogą, a skoro zdoła ocenić całą jego siłę i wspaniałość, postąpi, jak ja, będzie mówił, jak ja: łzami i krwią i uczuciem szczęścia i ukocha Cię sercem wielkodusznego narodu. Otóż nagroda Twoja! —

Tak jest, słusznieś Pan wyrzekł, że jest w nas dziwna,

nadzwyczajna żywotność, granicząca z cudem. To, cośmy wycierpieli, co cierpimy i co cierpieć będziemy jeszcze, mogłoby się wydawać, po ludzku sądząc, niepodobieństwem dla tego, kto nie zwiedził onych ponurych krain piekła na ziemi, kędy ludzkość prześladują szatany widome. Nie można o tém powziąć właściwego wyobrażenia — chyba że, jak Pan, posiada się w głębi duszy wrodzony popęd do jasnowidzenia prawie magnetycznego. Mimo to wszystko stoimy wytrwale i książę Metternich co dopiero sam z pokorą oświadczył, żeśmy nigdy nie zaprzestali walki wytrwałéj i pozytywnéj przeciw systemowi absolutyzmu, co próżną żywił nadzieję, iż zdoła zabić duszę naszę, podzieliwszy się łupami ciała naszego.

Tak więc, stósownie do wyznania jednego z najzaciętszych w téj chwili nieprzyjaciół naszych, źródła żywotne płyną jeszcze w łonie naszem. Pozwól, Panie, abym Ci powiedział, co jednocześnie zdaje mi się być i źródłem tajemniczem i celem ostatecznym téj siły, téj potęgi niezwykłéj; boć ostatecznie żywotność zasady zależy zawsze mniéj więcéj od przyszłości, na jaką jest skazana na ziemi. Pozwól przeto — skoro podobien przodkom swoim, Krzyżowcom, co ślubowali obronę tych, których los opuścił, dobyłeś miecza słowa na obronę méj ojczyzny; pozwól mi, powtarzam, abym Cię zatrzymał chwilę jeszcze nad przyszłością, która zdaje się być przeznaczoną téj *wielkiéj opuszczonéj* przez politykę i przez podłość ludzi.

A najpierw racz zwrócić uwagę na jedną okoliczność: żaden naród nie znajdował się w położeniu więcéj podobnem do naszego, jak naród żydowski. Otoczony nieubłaganymi nieprzyjaciołmi, długo bronił on z jednéj strony ducha ludzkości przeciw obłędowi bałwochwalstwa wschodu, a z drugiéj swego ciała, jeśli mi wolno tak się wyrazić, przeciw straszliwemu uciskowi Rzymu, miasta najbardziéj materjalistycznego i najbardziéj tyrańskiego w całym starożytnym świecie. Przechowując tradycją Boga jedynego i uniwersalnego, przygotował przyjście Chrystusa, a gdy się czasy wypełniły, wydał go z łona swego.

Naszem posłannictwem nie jest już wydać Go. On już jest na wszystkie wieki! — Ale aż do obecnéj chwili tak boskie Jego słowo, jako i Jego miłość boska nie znalazły nigdzie zastósowania ani politycznego, ani społecznego. Naszem osobnem posłannictwem jest wprowadzić, przez cierpienia, ducha ewangelicznego w sprawy tego świata i pozbawić cezara tego królestwa niesprawiedliwości, które przeciwstawia królestwu swego nieprzyjaciela, trzykroć świętego.

Jeżeli się nie mylę, długie męczeństwo Polski nie ma innego znaczenia. W niéj i przez nię muszą przekonać się niedowiarki i faryzeusze polityczni, którzy od wieków nie przestali na nowo krzyżować Chrystusa na wszystkich krzyżach historji, że wszelka prawdziwa narodowość jest rzeczą nieginącą na ziemi i że nic, ani machjawelizm oszustów, ani ambicja zdobywców, ani egoizm dynastji, ani zbrodnicza chciwość wydzierców, nic na świecie, mówię, nie może zastąpić z jakiemkolwiek prawdopodobieństwem trwałego skutku tego tajemniczego pierwiastku bytu narodowego, którego Bóg sam jest założycielem. Z tego to odtąd pierwiastku będą musiały powstawać cesarstwa i państwa, jeśli pragną trwać na ziemi. Nic innego nie zdoła służyć za niewzruszoną podstawę społeczeństwom przyszłych wieków.

Nadejdzie czas, nie wiem kiedy, ale nadejdzie, gdzie ideja królestwa bożego nie będzie uważana za czcze marzenie, albo za utopją, niemogącą się urzeczywistnić. Ludzkość, złożona z wszelkich narodów ziemskich, które, jakoby dźwięki rozdzielone i złączone jednocześnie, tworzą, nie pochłaniając się wzajemnie, jednę niezmierzoną i świętą harmonją! — oto cel, ku któremu dążą wieki, a Chrystus sam przez obietnice swoje wiedzie je za sobą!... Jak w nieskończoności światów sam tylko człowiek, albo podobne człowiekowi duchy nieśmiertelnością są obdarzone; tak samo w sferze spraw politycznych na ziemi jedna jest tylko zasada narodowości, która posiada życie, niepodlegające skażeniu.

Ale w jaki sposób zasada ta zdoła dowieść swego istnienia? Jak potrafi ukazać się, zauważyć, poznać, przyjąć się wreszcie, jako prawda fundamentalna i konieczna, jako jedno z odwiecznych boskich praw w porządku zjawisk historycznych? Jakiż sposób, jeśli się jest nieśmiertelnym, wykazać swą nieśmiertelność na ziemi? Aby był dowód niezbity, bezwarunkowy, matematyczny, że tak powiem, potrzeba ponieść śmierć w obec ludzi, potem zmartwychwstać w ich obecności. Tak jest, umrzeć potrzeba. Całe życie wieczne jest tylko nagrodą zmartwychwstania; zmartwychwstanie jest nagrodą konania pełnego niewymownych boleści i śmierci prawdziwéj, zupełnéj, sprowadzającéj rozłączenie duszy z ciałem aż do chwili, gdzie dusza, która rozmyśla i wzdycha w głębi grobu, przybierze na nowo postać chwalebną, świetniejszą i czystszą. I cóż czyni Polska, jeśli nie to samo? —

Naród żydowski, służąc długo ludzkości, zdradził tę ludzkość. Zamiast przemienić ojczyznę żydowską w ojczyznę ludzką w całem znaczeniu wyrazu, jaką to radę dawali mu chrześćjanie — w ślepéj wściekłości, w rozpaczy niesłychanéj, jakkolwiek z pewnością nie z braku heroizmu lud ten sam przeklął siebie na dymiących zgliszczach Jerozolimy, zrzekając się wszelkiéj ucieczki do Boga i wszelkiéj miłości bliźniego.

Ojczyzna polska nigdy nie miała tego usposobienia wyłącznego, które gubi zamiast zbawiać. Chrystus rzekł: „Gdy stracicie życie, odzyskacie je w zupełności.“ Jest to prawo miłości. To prawo Polska zawsze spełniała. Wiedeń jest tego świadkiem żyjącym, tron carów i monarchja pruska są na to dwoma drugiemi dowodami.

Był czas, gdzie rzeczpospolita polska byłaby mogła zgnieść pierwszy, a przeszkodzić powstaniu drugiéj. Jedynie prośby kurji rzymskiéj, zaniesione przez jezuitę włoskiego Possewina, powstrzymały ramie króla Stefana Batorego, wyciągnięte nad Moskwą, aby ją zniszczyć. W ten sposób sama stolica apostolska ocaliła państwo rosyjskie, zawierzywszy wiarołomnym obietnicom schizmatyka, który w ostatecznéj chwili konania poprzysięgał swe nawrócenie. Był to również jeden z książąt kościoła, przez ojca św. przysłany kardynał, który, klękając przed królem polskim, przechodzącym gankiem swego pałacu, zaklinał go z płaczem w imie chrześciaństwa, aby ocalił monarchją Habsburgów z rąk niewiernych. Sobieski wzruszony temi łzami pospieszył na jéj ocalenie.

Czy nie bierze Cię pokusa wierzyć w kaprysy losu szyderczego, który pozwala, aby w zamian za oswobodzenie Wiednia nastąpiło w ostatnim właśnie czasie zajęcie Krakowa? — Ale nie; wszystko to jest opatrznościowem. Polska zbawiła Austrją z miłością; oszczędzała Rosją z niesłychaną wspaniałomyślnością; opiekowała się w pierwszych latach Prusami z uczuciem czułości macierzyńskiéj; a Austrja, Ro-

sja, Prusy zwróciły się przeciw swéj dobrodziejce i zamordowały ją. To przywodzi mi na pamięć słowa Apokalipsy: „Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj dobrze słucha; ktokolwiek ujarzmia, będzie sam ujarzmiony; kto zabija, będzie zabity. W tem spoczywa wiara i cierpliwość świętych.“

Tak jest, Polska może sobie oddać to świadectwo, że w każdéj historycznéj okoliczności zawsze doskonale rozumiała, że ideja ojczyzny w całem tego słowa znaczeniu jest to ta ideja, która wskazuje narodowi obowiązek poświęcania się zupełnego dla całéj ludzkości. Francja wie o tem dobrze; jedynie, aby odwrócić od królowej cywilizacji łacińskiej na zachodzie walkę nieuchronną z barbarzyństwem azjatyckiem, reprezentowanem przez Rosją, podniosła Polska sztandar powstania w r. 1830. Tak jest, nie znuży mnie powtarzanie tego; nie było nigdy narodu, którego polityka byłaby wytrwalej i doskonalej chrześcjańską. Otóż to dla czego książęta Metternich, mówiąc o naszéj historji, wyrzekli o nas to, co wyzwoleńcy cezarów rzymskich, zostawszy ministrami i uważając się za mężów stanu, zwracali do pierwszych chrześcjan! *Lucifuga natio!*

(Dokończenie nast.)

# Staszic w pochodach swoich po górach Karpackich.

(Ciąg dalszy.)

Postępujmy daléj za Staszicem.

Z Miłuskich gór udaje się w zamiarze zwiedzenia Rybiego jeziora i Morskiego Oka przez *Wołoszynię*, górę, najrozleglejszą z pomiędzy gór Tatrzańskich, składającą się z granitów jednostajnéj bryły. Tutaj nowe cudowne zjawisko objawia się ludzkiemu oku:

Na górach 4200 stóp wysokości na wschód Wołoszyni nie daleko tak zwanego Siodła wśród ogromnych skał pokazuje się *pięć Jezior*, zwane przez Gorali pięciu Stawami. Góry otaczające te jeziora, od zachodu *Wołoszyńskie*, od południa *Liptowskie*, od wschodu skała *Nadstawnica* są na trzy tysiące stóp wyższe od położenia pięciu Stawów.

Zachwycającym jest widok w pośrodku granitów falujące jezioro *Rybiem* zwane, do którego na pięćset stóp z góry z rozpienionym hukiem, roztrącając skały, wpływają dwie rzeczki. Przyjrzawszy się jeziorowi *Czarny staw* zwanemu zwiedza znane *Morskie Oko*.

W Sierpniu 1805 postanowił Staszic przebyć holicę *Kołowy* dla zwiedzenia *Kolibachu* wielkiego. Przeszedłszy przez górę Świstowa wstępuje w wielką holicę *Kołowa* zwaną, rozległą na milę, zachodzącą aż pod samo podgórze Kolibacha, *otoczoną górami*: *Rogowa*, *Muronem małym*, *wielkim Hawranem*, *Szeroką*, *Koperszadami*, *Brelskiemi* i *Kopą*. Niedaleko tych sterczy góra *Głośna* tak zwana, że do kilkunastu razy powtarza echo.

Cała okolica *Kołową* zwana powstała przez gwałtowne rozhuczenie, rozerwanie ztamtąd rozmaitych różnego rodzaju skał. Z tych obszernych opok istnieją jako świadki przeszłości góra *Jagnięca* i góra *Skoruszew*.

Nad rzekami *Białą* i *Podmuronką* są często skał urwiska do pewnéj wysokości jakby malowane czerwono najżywszemi barwami. Dziwne to zjawisko odsłania się jako barwa mchu czerwonego, rosnącego na tych górach a wydającego przy zbliżeniu najprzyjemniejszą woń fiołkową.

Z *Kołowy* puszcza się Staszic przez *Skoruszew*, następnie spuszcza się po nad rzekę *Czarną* i daléj wądołem prawie przez milę w górę po prawéj ręce mając *Jaworzynią* i *Jaworowę*.

Zostawiwszy od południa *Mury i Krapak wielki* wchodzi w holicę zwaną *Czarną*, postępuje nieustannie w górę przez straszne zwaliska ogromnych granitów, które tam wszędzie były obrosłe jodłami i modrzewiami.

Dotarłszy do jeziora *Czarnego* dosięga górę *Ławy* i stawa o godzinie wpół do drugiéj po południu na najwyższym szczycie *Kolibacha*.

Chmury gęstsze powstały niżéj (mówi). Nad sobą widziałem niebo czyste, nieprzejrzałą rozstrzeń błękitną czyli niebieską. Ale przecież i w niéj jeszcze a to bardzo wysoko uważałem unoszące się i przemijające chmurki.

Skutek ten unoszenia się chmur na powietrzu będąc upowszechnionym tak nas z sobą oswoił, iż warto zastanowienia. Jest on przecież w ściślejszéj uwadze jeden ze skutków do tłomaczenia dotąd bardzo trudnych. A staje się jeszcze niepojętszym, kiedy w rozstrzeniach nieskończonych; on zdaje się nie kończyć, kiedy na wysokościach, gdzie już do tchu powietrza nie staje, jeszcze się zbierają, jeszcze unoszą, jeszcze przewłoczą chmurki.

Do téj myśli przydane te od gminu tak zwane gwiazdy spadające, to zapalenie się jakichciś materyi na niezmierzonych do tego wysokościach; a które ja na górach blisko 8 tysięcy stóp wysokich widywałem, zapalające się nademną wyżéj i to jeszcze w wysokości niezmiernéj.

Z wierzchu Kolibacha widać, że najogromniejsza część Tatrów zajmuje cały róg wschodowy....

U jego dołu leży jezioro zielone, a za tém rozlegają się na kilka mil równiny, w okolicach wsi *Słowiańskiéj*, *Rakuzan*, *Rozdolów*, *Folwarków*, *Magieru*, *Kiesmarku* nad rzeką *Popradem*.“

Widzi ztąd *Kolibach* mały, *„Trzechwierzchów szczyty“*, *Żabiego turnie*, *Siedm rygli* a w pośrodku tych gór, jakby otoczon strażą gór tych mniejszych, wznosi się i piętrzy po nad wszystkie wyżéj *Krapak wielki.*

Półtoréj godziny przed zachodem słońca zszedł Staszic ku *Zielonemu*, aby tamże przenocować.

W Sierpniu 1805 Staszic szukając wejścia na Krapak, zbliża się do granitowych szczytów *Jeziora Żabiego*, do którego dotarł wądołem czyli holicą, jedną z najgłębszych w Tatrach. Jest na okół otoczona skałami jednostajnego granitu; ściany ma gładkie na kilka tysięcy stóp wyniosłe. Jezioro *Żabie* podobno dla tego takie nosi miano z powodu wielkiego mnóstwa drobnych granitów drobnych szczytów skał porzuconych, które mchem żołtawym w pręgi porosły, okazują podobieństwo do rodzaju żab *Rana esculenta*.

O téj holicy (mówi Staszic) *Żabiego* i o *Trzech Wierchach* w Tatrach znajdują się u okolicznych górali mnogie podania, baśnie i rozmaite w języku Słowackim pisane i drukowane książeczki, z tajemniczością chowane rękopisma, do których udzielenia wielką robią trudność, a dziedzictwem jako największe sekreta ojciec synowi albo Góral drugiemu z górali pobratymcowi przy śmierci przekazuje.

Zawierają one wśród różnych baśni, jakieś niespamiętałe podania o niezmiernych skarbach zawartych w tych górach.

Mniemają ciż do tajemnicy przypuszczeni górale dójść do miejsca, w którem rodowite a nie przebrane znajduje się złoto.

Zdarzyło mi się zjednać sobie u niektórych górali tyle zaufania, że mię przypuszczali do swoich sekretów i powierzyli tych książeczek i pism. Przy ich czytaniu najwięcéj mię zastanowiło, iż znalazłem w języku Słowackim wzywanie duchów Amschaspands i Bachmana, duchów Aniołów stróżów, w religii Persów tylko znanych.

Uważałem, że lud w wszystkich górach Europy powszechnie jest więcéj zabobonny i nabożny, niż w równinach. I nasz góral pospolicie od mieszkańców równin ma zabobonów więcéj, ale nabożeństwa mało. Nie wiele ma wiadomości o tajemnicach wiary Chrześciańskiéj i nawet uważałem względem niéj obojętność, ale znajduje się w naszych góralach wiele wiadomości o tajemnicach jakichś jestestw niewiadomych, o rozmaitych władzach jakichś duchów czyli jestestw, ukrytych w obłokach, w chmurach, w górach, w jaskiniach; o wielorakich i nagłych przemianach tychże jestestw w różne zwierzęta, w ptaki, a czasem w starców z długiemi brody.

Dokończenie nastąpi.

# Parafialna Wieszczka.

**Nowella**

napisał

TADEUSZ ZAREMBA.

(Ciąg dalszy).

## II.

Jądąc drogą do Malczyniec wiodącą, wydobywszy się nie bez trudu z malowniczego Karpowego Brodu, zapuszczamy się w gęsty, tajemniczy lasek grabowy, za którym, jakby dalszy ciąg jego, wznoszą się drzewa parku przylegającego do Markowieckiego pałacu. Pałac piękny, dwupiętrowy, pobudowany we włoskim stylu. Od strony zajazdu ciągnie się przed nim pięknie zarysowany trawnik, na którym jakby od niechcenia kapryśnie porozrzucane drzewa, krzaki i niewielkie klomby. Od drugiéj strony pałacu, z wielkiego kamiennego tarasu widok bardzo rozległy. Lekka pochyłość, pokryta aksamitnym trawnikiem sprowadza nad brzeg wielkiego stawu, a za nim w nieładzie piętrzą się domki miasteczka, których czerwone dachy ceglane przeglądają się w czystem zwierciadle stawu. Po prawéj stronie miasteczka wysoko w górę strzelają wieżyczki niewielkiego kościoła, których kopuły białą blachą obite, odbijając promienie igrającego z niemi słońca, zdala świecą jakby dyamenty. Przy kościele wznosi się skromne, słomą kryte probostwo z gospodarskiemi zabudowaniami, daléj — dom wikarego, stary gołębnik i kościelny szpital, — przytułek cienko w czasie nabożeństwa śpiewających, schorzałych babek. Po lewéj stronie miasteczka ciągnie się długi szereg chat i kwitnących sadów wieśniaczych, za niemi zielenieje szeroka wstęga pola a w końcu zamyka horyzont rozległy i ponury las dębowy.

Panem Markówki wraz z licznemi przyległościami jest Roman Mordkowski dwudziestokilkoletni młodzieniec.

Od lat pięciu, bo od śmierci matki, nie pokazał się Roman w Markówce. Powierzywszy rządy gospodarstwa mniéj więcéj uczciwemu człowiekowi, ledwo trumnę matki grobowym kamieniem z napisami i herbami zasłonił, wyjechał pospiesznie do Paryża o którym tyle słyszał i czytał, a który osobiście poznać wypadało. Surowo dotąd w domu przez matkę trzymany, chciał użyć swobody, chciał poznać od razu wszystkie piękne strony życia. Pieniędzy mu nie brakło, był młodym i począł się bawić. Poznawszy Paryż dokładnie, zwiedził kolejno Homburg, Baden-Baden, Spa, Monaco, gdzie zawsze najmilsze, choć nie najwykwintniejsze towarzystwa zastawał. Czas tak miał zajęty, że się nawet nie spostrzegł jak mu kilka lat życia prędko ubiegło. W końcu wszystko go nudzić poczęło. Zastanowił się nad sobą. Był jedynym ze swego rodu, trzeba było zatem myśleć o zostawieniu potomków, osiąść przeto na wsi, ustatkować się, ożenić.... Bez zbytecznego wstrętu myślał o opuszczeniu Paryża, bo go już tam nic nie zatrzymywało. Wyjechał z powrotem do kraju i w pierwszych dniach kwietnia roku, w którym się wydarzyły niżéj opisane wypadki wylądowywał przed Markowieckim pałacem ze stałym zamiarem pozostania czas dłuższy w rodzinnych stronach. Pierwszym jego krokiem w nowoobranym zawodzie wiejskiego obywatela było zrobienie kilku wizyt w sąsiedztwie. W jednych domach wcale go nie przyjęto, w drugich okazano mu tyle chłodu i obojętności, w trzecich znowu tak się szalenie wynudził, ze biedny Roman po miesiącu pobytu na wsi czuł się już zupełnie do niéj zniechęconym. —

Czemuż go w pewnych domach przyjąć nie chciano?..

Na Podolu są jeszcze pewne zakątki, w których bardziéj niż gdzieindziéj kwitną rozmaite stare, głęboko zakorzenione przesądy. I tak, jeżeli kogo uważają za złodzieja, zdarzą się tacy, którzy z nim żadnych mieć nie zechcą stosunków; gdyby ci ludzie wyjechali za granicę, do krajów cywilizowanych, do Paryża, Wiednia, Berlina, wnetby się otworzyły im oczy, wnet by inaczéj się na rzeczy zapatrywać nauczyli. Ale z Podola do Paryża droga daleka, każdy prawie siedzi na wsi, daléj jak do kościoła nie jedzie i gorliwie pielęgnuje przesądy, które pielęgnowali dziadowie. Samemu Romanowi nic nie było można zarzucić, ale ojcu, dziadowi.... Ha! Najrozmaiciéj o nich ludzie mówili, choć Bogiem, a prawdą, nikt dokładnie nie znał historyi domu Mordkowskich. W jednym tylko punkcie zdania wszystkich zgodnie się z sobą schodziły. Utrzymywano mianowicie, że nie tak jeszcze dawno, w końcu zeszłego wieku żył niejaki arendarz Mordko, który słynął na cały kraj z przebiegłości, chytrości, nieuczciwości, chciwości i wielu innych *ości*, za pomocą których doszedł do wielkich bogactw, ochrzcił się i pojąwszy ubogą panienkę z podupadłéj szlacheckiéj rodziny, stał się protoplastą domu Mordkowskich, tytułujących się za granicą i przed służbą hrabiami. Oto cała historya, którą każdy jednym tchem bez zająknienia wyrecytować umiał i któréj rzeczywiście zupełnie był pewnym. Czy Roman o niéj kiedy słyszał, czy wiedział co zarzucano dziadowi?.. — Prawdopodobnie nie znał tych wszystkich szczegółów, bo go dosyć zdziwiło przyjęcie, jakiego doznał w okolicy.

— Prostaki! — myślał z pogardą. — Kolą ich w oczy moje paryzkie maniery, wychowani po folwarkach, obcując

z chłopami nie wiedzą nawet co jest dobre wychowanie. Nawykły do wykwintnych zagranicznych salonów, nie bardzo wiedziałem co mówić i robić po tych wiejskich bawialnych pokojach. Ładna nazwa!.... Chyba to ironia!... *Je me sentais tout à fait dépaysé parmi ces rustauds!* Drugi raz mnie u siebie nie złapią. Trochę czasu, a sami do mnie będą się tłumnie cisnęli. Nasza szlachta nie może się obejść bez pana, któryby ją za nos wodził. Sami do mnie leźć będą, bo to wszystko straszna hołota.

Tymczasem jednak Roman nudził się. Czytał niewiele, grał trochę na fortepianie, trochę śpiewał, jeździł konno i gawędził z ulubionym służącym Wasylem, młodym i przebiegłym chłopcem, który wiedząc o tém, że łaska pańska na pstrym jeździ koniu, korzystał jak mógł z obecnego stanu rzeczy.

Pewnego dnia pod wieczór Roman powrócił ze spaceru. Był trochę rozmarzony i sam siebie pytał zaintrygowany:

— Kto to być może?... Nie spodziewałem się takiego spotkania. Hm! Ale to jakaś gąska. To parafialna gąska; niewidziana, nieznana przeżyje na tym świecie i legnie w końcu na przeznaczonym dla niéj półmisku. E! Niema co o tém i myśleć!... Nie wiedziałbym nawet gdzie jéj szukać!...

Machnął w powietrzu szpicrózgą i poszedł na górę do swoich pokojów.

Nazajutrz, gdy przy otwartym oknie kończył się ubierać z pomocą faworyta, usłyszał dolatujący go odgłos dzwonów kościelnych.

— Co to jest? — zapytał. — Wszak dziś mamy wtorek?..

— Święto, — odparł służący.

— Święto?... Przynieś kalendarz.

Wasyl wypełnił rozkaz Pana.

— Prawda! Święto!... Ósmy Maja!... Wasyl! Niechaj siwe konie do koczyka zaprzęgą. Pojadę do kościoła.

Wasyl dosyć zdziwiony odebranym rozkazem wyszedł z pokoju.

— Coby na to powiedzieli w Paryżu!... — myślał Roman z uśmiechem. — Hrabia Mordkowski w kościele!... Ha! Cóż na wsi robić innego! Pojadę przejrzeć miejscowe piękności. Mam tam nawet swoją kollatorską ławkę. Z niéj będę mógł widzieć całe zgromadzenie. Może się znajdzie i ta wczorajsza leśna bogini.

III.

Już się tłumnie cisną w kościele pobożni. Na przedzie gromadzi się czynszowa szlachta, za nią — wieśniacy. Ławki wyglądają jak kosze przepełnione kwiatami, tyle w nich pań w strojach odświętnych. Przy drzwiach zwraca uwagę grono mężczyzn, mierzących się okiem wzajemnie. Każdy z nich się prostuje, poprawia włosów, podkręca wąsika, uśmiecha się gdy kogo znajomego dostrzeże i wcale złego o sobie nie ma wyobrażenia, jak się to zwykle z każdym dzieje, gdy się tylko nadarzy sposobność do wystąpienia przed ludźmi. Są to po większéj części przedstawiciele złotéj Malczyniecko-Markowieckiéj młodzieży, drobni obywatelscy synowie albo miejscowi lub okoliczni oficyaliści. Rej pomiędzy nimi zwykł wodzić pan Bonifacy Fujarski przystojny, dowcipny i szykowny kawaler, dotychczas ekonom na jednym z Markowieckich folwarków, nie tracący jednak nadziei, że przy pomocy swoich zdolności, o których nie wątpi, oraz Wasyla, którego względy wszelkim sposobem stara się sobie zaskarbić, potrafi z czasem otrzymać posadę generalnego rządcy na całéj Markówce. Dziś czegoś pan Bonifacy trochę smutny, zadumany, niespokojny nawet. Do téj pory nie ma panny Kornelii Popowiczówny w kościele, a nabożeństwo już rozpoczęte. Pan Bonifacy od dawna w sercu choduje gorące afekta skierowane ku osobie młodéj poetki. Kocha ją bez granic, a choć mu dotąd nigdy nie okazała wzajemności, nie traci nadziei, że kiedyś z czasem jéj serce pozyskać zdoła. Przejrzawszy w myśli szereg młodzieży z całego nawet powiatu, silnie o tém jest przekonany, że on zawsze pierwszym wśród niéj będzie, że wszyscy przed nim bledną muszą jak bledną gwiazdy, gdy się słońce ukaże. To się może wyda trochę śmiesznem, ale każdy jest w części takim panem Bonifacym, i doprawdy mieć mu za złe nie można, że był szczerze przekonanym o tém, iż jeżeli kiedykolwiek serce pięknéj Kornelii przemówi, dla niego tylko przemówić potrafi. Tymczasem zaś dotąd jéj nie ma... może wcale nie będzie?... może chora?...

Wróciwszy z przechadzki do domu Kornelia przez cały



*Maciéj Mielżyński.*
(Życiorys w przyszłym numerze.)

wieczór głowę miała pełną marzeń o pięknym nieznajomym. Poczęto ją wyśmiewać; jedna tylko Aniela gorąco w jéj obronie stanęła, tłumacząc każdemu, że nie tak łatwo wieszczkę zrozumieć, a wyśmiewanie jéj jest niegodnem urąganiem i bluźnieniem.

Jak na nieszczęście przez całą noc księżyc świecił, a słowik śpiewał tak pięknie, tak głośno, że Kornelia oka zamknąć nie mogła. Przed nią się przesuwały tajemnicze postacie, jakieś mary niejasne, widziadła... Jeden tylko obraz wyraźniéj się od innych rysował — był to obraz nieznajomego, który jéj nie odstępował na chwilę. To ją wiódł do ogromnéj sali, w któréj się roiły tysiące postrojonych dworaków i tam zasiadłszy na wzniesionym tronie sadzał ją obok siebie, ogłosiwszy przytomnym, że z nią razem dzierżyć chce berło, które w spuściznie po przodkach otrzymał. Rozlegały się wiwaty i okrzyki do koła, winszowano i życzono szczęścia, cieszono się, głośno piękną parę chwalono... To znów nagle się wszystko zmieniało. Nieznajomy trzymając Kornelię zawsze za rękę prowadził ją po nierównéj drodze, szedł do Karpowego Brodu, Kornelia poznawała drogi krzak leszczyny. On zaś mówił jéj tymczasem, że kiedy ją w tém poznał miejscu, tu zatém chce nadal pozostać, uderzał w dłonie, z pod ziemi wyrastał czarodziejski pałac....

Nad ranem Kornelia nie mogąca usnąć zapaliła świecę i pisać poczęła. Widocznie była w natchnieniu, policzki jéj gorzały a oczy paliły się dziwnym ogniem... Szybko piórem po papierze wodziła... Po pewnym czasie pisać przestała, obejrzała się do koła... Siostra spała snem twardym...

— Biedna Kadzia! — mruknęła wieszczka z niekłamanem współczuciem. — Ona spać może!... Czyż nie słyszy słowika?... Dziwne stworzenie!.. Nie!... Ta mnie nigdy zrozumieć nie zdoła! Dajmy jéj pokój....

Ale po chwili przemogło uczucie zadowolenia autora, który tylko co jakiś utwór na świat wydał. Kornelia siostrę zbudziła.

— Słuchaj, — rzekła. — Napisałam wierszyk.

— Ach! Wolałabyś do jutra czytanie odłożyć, — prosiła siostra ziewając. — Ja spać chcę.

Daremne były jéj prożby. Kornelia jak zwykle z autorami bywa okazała się okrutną, nieubłaganą egoistką. Poczęła deklamować. Mówiła długo, z zapałem, każda zaś strofa jéj wiersza kończyła się słowami:

„Ach!
Strach!
Jak ja kocham tego!...“

Więc już jego kochała?!...

Tymczasem szczęściem dla Kadzi i ostatnia strofa doczekała się swojéj kolei:

Na miłości lube hasło
Rade serce w dłonie klasło,
Bo już próżnia w niem zapchana.
Ach!
Strach!
Jak ja kocham tego pana!...

Niestety była to już ostatnia strofa tego nowonarodzonego, natchnionego utworu. Westchnąwszy parę razy, otarłszy łzy nie wiadomo dla czego obficie jéj spływające po spieczonych policzkach, Kornelia myślała wreszcie o spoczynku.

Tymczasem biedna Kadzia, prawa ręka matki już wstawać musiała. Kogut zaśpiewał pod oknem, trzeba było pomyśleć o przygotowaniu śniadania i strojów dla siebie, siostry i matki....

O niczém nie wiedząc spała Kornelia i około dziesiątéj dopiero się zbudziła. Po skończonéj toalecie, po spiesznie spożytem śniadaniu, zjawiła się w salonie gdzie wszystkich niecierpliwie na nią czekających zastała. Wybrano się wreszcie do kościoła i ksiądz wikary już wchodził na ambonę, kiedy z staroświeckiego koczobryka pan Polikarp swoje panie przed furtą kościelną wysadzał.

Oczy pana Bonifacego zajaśniały niezwykłym blaskiem, gdy dostrzegł przeciskające się przez tłumy wieśniaków panią Pudencyannę, za nią córki a za niemi skromną Anielę. Rzucił się w bok, skłonił się ze zwyczajnym sobie szykiem i pobiegł naprzód dla utorowania damom drogi przez kościoł. Stanął wreszcie przed romaniką, skłonił się raz jeszcze i powrócił na dawne miejsce. Kornelia go nawet nie zauważyła. Zimna, obojętna, z oczami utkwionemi w sufit przeszła obok niego spokojnie. Rozdarło się serce biedaka. Nie wiedział czem sobie na tyle niełaski zasłużył.

Tymczasem przed romaniką już dość pełno. Siedzi tam z całą bardzo liczną rodziną pani Tomaszowa, owa ambitna obywatelka z Malczyniec, która się tak zawsze dobija o pierwszeństwo przed Popowiczami. Wystrojona w zieloną jedwabną suknię, w kapelusz z pomarańczowem piórem i w złote, do ciastek podobne, zawijane, gdzie niegdzie błękitną emalią powleczone kolczyki, pani Tomaszowa jest prawdziwie imponującą. Ironicznie na nowo przybyłe damy spogląda, mierzy je oczami, uśmiecha się złośliwie, bo widzi, że miejsca wszystkie zajęte, a swego im nie ustąpi z pewnością. Znajduje się wreszcie ktoś od niéj litościwszy, grzeczniejszy i po chwili siedząc wygodnie na stopniu romaniki cztery nasze panie z uwagą kazania słuchają. Było ono i piękne i długie, ale wszystko ma swój kres na tym padole płaczu, w końcu ksiądz wikary przestał mówić, a wszyscy się znów do ołtarza zwrócili.

Czekała ich ogromna niespodzianka.

Za romaniką, po lewéj stronie ołtarza stała ławka, w któréj nikt od lat wielu nie zasiadał. Widywano w niéj niegdyś poważną staruszkę, panią Mordkowską, ale od kiedy się na tamten świat przeniosła, nikt się nie ośmielił zająć opuszczonego miejsca w ławce. Dziś inaczéj się stało. Ławka była zajęta. Siedział w niéj bardzo przystojny mężczyzna. Książki w ręku nie trzymał, nie modlił się, ale się za to gorliwie dokoła rozglądał.

Kadzia i Aniela jednocześnie trąciły Kornelię.

— To on! — szepnęły.

Nic na to nie odpowiedziała. Krew jéj uderzyła do głowy, a mocno bijące serce zdawało się krzyczeć!

— To on! To on! To on!...

Nie miała jeszcze czasu zebrać myśli i ochłonąć z pierwszego wzruszenia, gdy się do niéj zbliżył zakrystyan, mówiąc, że ksiądz wikary ją prosi, aby zechciała kwestować. Kornelia powstała, z oczami spuszczonemi przesunęła się przed ołtarzem i zniknęła w drzwiach zakrystyi.

Roman ją dostrzegł.

— Aha! Moja gąska, — pomyślał.

Gdy Kornelia wyszła z tacką w ręku, ciekawe na nią rzucił spojrzenie. Czuła ten wzrok biedna dziewczyna i oczu podnieść nie śmiała. Oddaliła się od ołtarza, poczęła się

pomiędzy zgromadzonymi ludźmi przeciskać, a czuła, że wzrok ten wszędzie ją ścigał.

Po długich i uciążliwych trudach dostała się do drzwi wchodowych. Nie wiedziała nawet, że pan Fujarski, który ją z swojéj strony pożerał oczami, z niewymowną gracyą rzucił jéj na tackę błyszczącą złotówkę, poczém odskoczywszy stanął o parę od niéj kroków i począł ją oczyma odprowadzać do ołtarza. Nic nie widziała Kornelia, o niczém innem myśleć nawet nie mogła, jak tylko o pięknym nieznajomym młodzieńcu, którego wzrok nawskroś ją przeszywał i który się tak niespodziewanie zjawił w kościele.

Powróciła przed romanikę, przeszła obok pani Tomaszowéj, obok matki, siostry, Anieli.... Teraz ją najcięższa, najtrudniejsza chwila czekała. Należało podejść do ławki, w któréj siedział bohater całonocnych jéj marzeń, który budził w niéj zachwyt i pewną trwogę zarazem. Chwiejnym krokiem zbliżyła się do niego ze spuszczonemi oczami, a ujrzawszy spadający na tackę kawał papieru zafarbowanego barwami tęczy, pospieszyła do zakrystyi co prędzéj.

Wyszedł na jéj spotkanie wikary, spojrzał na tackę i zawołał wesoło:

— Jakże się pani ślicznie kwesta udała! Sto rubli!...

— Sto rubli? — powtórzyła Kornelia z wielkiem zdziwieniem. Nigdy w życiu tyle pieniędzy naraz nie widziała.

— A pewnie! Winszuję pani i dziękuję! Jakże się proboszcz ucieszy!... Nasz biedny kościół bardzo pieniędzy potrzebuje. Dziękuję!...

— O! w tém nie moja zasługa, -- odparła Kornelia. — To, — rzekła drżącym głosem, — to ten pan, który siedzi w ławce przy ołtarzu... on się tak hojnym okazał.

Wikary przez drzwi zaglądnął.

— Nie znam go.... Jestem tu wprawdzie od niedawna....

— A! to nasz pan! — zawołał stary zakrystya. To hrabia Mordkowski. Ksiądz proboszcz będzie kontent jak go zobaczy, bo źle się dzieje, jak kollatora nie ma w domu. Tyle kłopotów, tyle interesów....

Nabożeństwo skończone. Z szerokich drzwi kościelnych płynie rzeka nabożnych. Na dziedzińcu gromadzą się ludzie, witają się, śmieją, gawędzą. Kadzia już dawno otoczona kwiatem młodzieży bawi się jak najweseléj. Pani Tomaszowa zebrawszy w koło siebie poważniejsze osoby coś z wielkim ogniem rozprawia:

— Żyd! Powiadam wam, że żyd! Ręczę, że w piątki chodzi do bóżnicy.

— Ależ dał na kościół sto rubli, protestuje pani Pudencyanna. — Sto rubelków!...

— Tém bardziéj żyd, kiedy ma pieniądze. O! Patrzcie!... Oto idzie z proboszczem! Czy widzicie!... Płaszcz długi, po kostki.... Czyż to nie chałat żydowski?...

Byłaby dłużéj opowiadała i szukała argumentów na poparcie swojego twierdzenia, ale musiała zamilknąć, gdyż Roman był już za blizko. Oczy wszystkich były na niego zwrócone, każdy mu się przypatrywał ciekawie.

Proboszcz kończył rozpoczętą z nim w zakrystyi rozmowę. Każdy przed proboszczem czapki uchylał, panie mu się z uszanowaniem z daleka kłaniały, nie śmiejąc go zagadnąć, gdyż był w towarzystwie pana Mordkowskiego, który choć niby żyd i chodził w długim paletocie, każdemu zaimponować potrafił prawdziwie pańską powierzchownością, mogącą oszukać najwytrawniejszego nawet bywalca.

Zbliżał się pomału do miejsca, w którym stała Kornelia z matką i siostrą. Poznał ją, spojrzał na nią znacząco z dziwną grą fizyognomii i bardzo grzecznie, bardzo zgrabnie się skłonił. Wiedziała Kornelia, że przed nią tylko dumnego czoła uchylał, ale nikt zda się tego nie zauważył. Kadzia i Aniela wzięły ten ukłon dla siebie, a pani Pudencyanna poczerwieniała z radości na myśl, że się jéj hrabia Mordkowski ukłonił.

— Od razu poznał Frendzelkiewiczównę z domu, — pomyślała, tryumfujące na panią Tomaszową rzucając spojrzenie. Nie bez przyjemności dostrzegła przytém na twarzy ambitnéj sąsiadki jakiś wyraz zawiści i gniewu.

— A więc we Czwartek, — mówił Roman, żegnając się z proboszczem. — Chciałbym te panie przeprosić za strach, którego mimowoli byłem powodem. Jeżeli ksiądz proboszcz nie zechcesz się podjąć przedstawienia mnie w tym domu, sam się na to zdobędę. — I lekko do powozu wskoczywszy, odjechał.

— Zaprząg prawdziwie królewski! — odezwał się jeden z mężczyzn przy furcie stojących.

— To ja dobierałem tę czwórkę, — odparł z wyrazem dumy pan Bonifacy.

Proboszcz był trochę zdziwiony rozmową z Romanem.

— Co jemu do tych ludzi? —

— Witam księdza proboszcza! Witam! Witam! — odezwały się zewsząd rozmaite głosy i proboszcz ujrzał się naraz obskoczonym przez całe Malczyńce, Markówkę i przyległości.

— Ksiądz proboszcz o nas zapomina! — zawołała pani Pudencyanna całując go w rękę. -- To nieładnie!...

— Mam tyle zajęcia, ale będę — będę we czwartek... pojutrze — mówił proboszcz.

— Ach! Ślicznie! Prześlicznie! Panienki! Podziękujcie księdzu proboszczowi za tę miluchną niespodziankę!.. Zatem czekamy we czwartek z obiadkiem.

— Nie! Tyle obiecać nie mogę... Przyjadę po południu... Gościa z sobą przywiozę....

— Ja bo proszę na obiadek.. skromnie ale szczerze.. Będzie barszczyk z uszkami i z rurką... z rureczką.. proszę księdza proboszcza! Bardzo proszę!...

— Nie mogę! Zapewniam panią, że nie mogę.

— A jednak... — tu pani Pudencyanna westchnęła, -- jednak zeszłéj jesieni ksiądz proboszcz przyjął obiadek u pani Tasiemskiéj... To było w poniedziałek przed świętym Andrzejem. Ja dobrze pamiętam!.. — tu nowe westchnienie. — Ksiądz proboszcz na nas niełaskaw!.. może nami pogardza?.. My wprawdzie biedni ludzie jesteśmy, ale nikomu nie zrobiliśmy nic złego. Panienki! Proście księdza proboszcza!...

Kornelia, Kadzia, Aniela rzuciły się na biedne ręce proboszcza za przykładem pani Pudencyanny i poczęły je gorliwie całować, a raczéj każda tylko swoje dwa palce i pół całując, starała się wyprosić u proboszcza obietnicę przyjechania na obiad.

W jaki sposób wybrnął z tych dowodów serdeczności trudno opowiedzieć. Po półgodzinnem wypraszaniu się postawił wreszcie na swojem i zapowiedziawszy swą wizytę na czwartek po południu, spiesznie napastujące go panie porzucił.

IV.

Nadszedł oczekiwany czwartek. Pani Pudencyanna zaniechała myśli o barszczyku z rureczką; postanowiła jednak świetnie wystąpić. Od samego rana z Anielą i Kadzią krzątała się w kuchni. Gdyby biedny proboszcz mógł widzieć co się tam piekło, gotowało, smażyło byłby niezawodnie wolał skromny obiadek, na jaki się z początku nie był dał skusić. Różnorodność bowiem posiłków przygotowanych na jego przyjęcie była przerażająca.

Po obiedzie wszyscy byli zebrani w bawialnym pokoju. Pani Pudencyanna wyprostowana, jak na Frendzelkiewiczównę przystoi, siedzi na rozkołysanéj, wiecznie jakąś rzewną piosenkę nucącéj kanapie. Siedzi na samym jéj środku wprost naprzeciw małego, lecz za to wysokiego stołu na toczonych nóżkach. Stół przykryty jest żółtą siatką, pomiędzy oczka któréj, w formie szlaku powpuszczane nici białéj bawełny tworzą jakieś róże, liście, ptaki o dziwacznych konturach. Na środku stołu, dla ozdoby salonu, stoi biały fajansowy kałamarz, służący zarazem jako połapka na muchy. Nad kanapą, wprost nad głową lubiącéj symetryę gospodyni domu, wisi obraz, a raczéj dwa obrazy, dwa sztychy w jednéj ramie oprawne. Na jednym blacie papieru widzimy po prawéj stronie młodą dziewicę z oczami w dal wlepionemi, a po lewéj — młodzieńca tą samą zajętego rozrywką. Dzieli ich szeroki margines białego papieru. Podpis jest jeden dla obojga: „Rozłączeni“. Zaczyna się u stóp młodzieńca, aby skonać pod nogami dziewicy i wyraża zapewne, że nawet margines papieru może być powodem smutku dwojga istót.

Jeden przedmiot jeszcze zwraca na siebie uwagę w salonie — a mianowicie fortepian niewielki, dawno rozstrojony, olejną farbą pociągnięty instrument. Nic zresztą więcéj w sposób nadzwyczajny nie zachwyci oka badacza, chyba stojący na oknie słoik z pijawkami — nieomylny barometr pana Polikarpa, podług którego stosuje się z robotami w polu.

Aniela z pannami siedzi przy oknie i tęskném okiem patrzy na biegające po dziedzińcu kurczęta i kaczki, podczas gdy pan Polikarp przechadza się majestatycznie po pokoju.

(Ciąg dalszy nast.)

# Śp. Jenerał Edmund Taczanowski,

jedna z najwybitniejszych postaci w powstaniu 1863 r., zakończył życie dnia 14 Września br. w Choryni pod Kościanem. Nie mogąc zamieścić portretu i obszernego życiorysu tego dobrze sprawie narodowéj zasłużonego męża, o ile, że dni naszego pisma są policzone, podajemy przynajmniéj krótkie, lecz treściwe i pełne zapału przemówienie pułkownika E. Calliera, wypowiedziane podczas pogrzebu dnia 18 Września, a które brzmi jak następuje:

„Współtowarzysz broni i podkomendny śp. jenerała przybyłem tu, imieniem bojowników r. 63, przynależną cześć oddać zwłokom jednego z najwybitniejszych przedstawicieli téj epoki, — schylić czoło przed pamięcią prawdziwego patryoty.

Wyrosły w wielkich hasłach r. 1830 umiał je zmarły przechować wiernie przez ciąg całego życia, umiał je uczynić jego modłą — w tych nawet chwilach, gdy w otaczającém go społeczeństwie zatracała się pamięć o nich z dniem każdym, — gdy nowe wywieszano sztandary i nowe stawiano ołtarze bożyszczom, urągającym poświęceniom przeszłości. W tych czasach nawet — chłodnych starzejącego się stulecia prądów, jenerał pozostał owym mężem „z jednéj sztuki“ jak się wyraża poeta, — pozostał jednolitym w każdém dążeniu, w każdém uczuciu, — w każdym czynie pozostał na wskroś Polakiem.

On pojął obowiązki, związane z tém mianem; — zrozumiał, że życie należy nie do jednostki, ale do rodziny, — do téj wielkiéj rodziny, którą zowiemy narodem; — pojął, że nie dosyć cichéj, choć pełnéj zasług „organicznéj pracy“, — że, wbrew temu co nam dziś głoszą, niepodległości kraju odzyskać nie można, jak się ją utraciło, — bez krwi rozlewu, — że zawsze na każdy odgłos walki za kraj iść trzeba do tego

„Boju bez chwały,
I do męczeństwa — bez zmartwychpowstania.“

Nie do mnie — opowiadać tu krok za krokiem życie zgasłego śp. jenerała. Pragnę tylko uwydatnić tę ciągłość jednéj jasnéj nici, jednéj ukochanéj na życie całe idei, co złotem pasmem czynów snuje się poprzez ciąg całego żywota zmarłego patryoty.

Aby nić tę zaznaczyć, dość będzie wspomnieć rok 1846, w którym należał do spisku, rok 1848, w którym czynny brał udział; chlubną dla jego męztwa obronę Rzymu i wreszcie ów rok 1863, ów prawdziwy „bój bez chwały“, z którego krwi nie wyrosły zaprawdę laury dla téj garstki straceńców, co niewierząca w własną siłę, rzucała na szalę losu swe życie, ufna, że tą ofiarą okupi dla Narodu lepszą dolę.

Śp. jenerał dobrze wiedział, że to bój bez chwały i bez nadziei, że ci co na hasło wydane podążą, nie wyniosą z niego nic — krom poczucia spełnionego obowiązku; nic — aż do potępienia téj części społeczeństwa, co przyklaskuje tylko powodzeniu; — a przecież ten rok najboleśniejszéj z walk polskich liczy śp. jenerała w gronie najwybitniejszych swych przedstawicieli.

Dzieje tego roku on okupuje kilkoletniem wygnaniem. I w życiu prywatném nie zboczył z drogi zasad całego swego życia; dość wspomnieć tu odrzucenie znacznéj fortuny, któréj posiadania warunkiem było zaparcie się ideałów przeszłości, — narodowych ideałów.

Kto umiał tak szczerze i głęboko ukochać ideę, kto umiał tak wytrwale jéj służyć, — w czyje życie każda górniejsza chwila życia narodu wpisała się krwią i poświęceniem, ten zasłużył zaprawdę na wyraz czci Narodu nad trumną — i tym wyrazem go żegnajmy: Cześć jego pamięci; cześć pamięci wielkiego patryoty!“

Dodajemy, że w dniu eksportacyi przemawiał X. Merkel, w dniu zaś pogrzebu miał mowę pełną patryotyzmu X. Kantorski. Krótko przed spuszczeniem zwłok przemówił pięknie i serdecznie dr. Wład. Niegolewski, następnie E. Callier, a w końcu Arnese, dziękując zmarłemu w imieniu Włoch za udział w boju o swobodę tego kraju. Cześć i pamięć popiołom śp. Edmunda!



Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.